Tom XI. Nr. 4.

1. sierpnia 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Gabryel Hołubek,

sławny rycerz polski z kmiecego rodu.

Słyszeliście już może nieraz o kmieciu Wielochu, co pod królem Batorym dziarsko sprażył Moskali, o Michałku, co zebrawszy sobie garść zuchów, natarł co się zowie czuba Szwedom i został rotmistrzem, o Bartoszu Głowackim, co służąc pod panem Kościuszkiem zalał nieraz gorącego sadła za skórę moskiewskim żołnierzom, i o innych sławnych kmiotkach polskich, co kiedy tego ojczyzna potrzebowała, chwytali za szablę i grzmocili wrogów, że aż miło — ale o Gabryelu Hołubku, sławnym rycerzu polskim z kmiecego rodu, to pewno jeszcze nie wiecie.

Ten Gabryel Hołubek to był zuch i junak taki dziarski, że nogi schodzić po kolana, a nie znaleźć już dziś takiego na świecie!... Jak piorun z jasnego nieba uderzał Hołubek na wrogów polskiej ziemi, a gdzie tylko szabla jego zaświeciła, tam już nigdy nie stanęła noga nieprzyjacielska!...

A nie był-ci ten Hołubek zrazu niczem innem, jeno takim kmiotkiem jak wy, kochani ludkowie, i z początku tak pracował

na ojcowskiej roli, jak każdy inny wieśniak poczciwy. A przecież później został takim sławnym wojownikiem, że Polska cała, jak sięgała od morza do morza, nie miała drugiego takiego rycerza!...

Gabryel Hołubek urodził się na Litwie, co jest także kraj polski, boć nawet przez Polskę ochrzczony, i tam żył sobie jako zacny kmieć na roli. A było to za czasów króla Stefana Batorego, co już temu jakie 300 lat blisko minęło. Był ten Stefan Batory król bardzo dzielny i waleczny i póki oko jego świeciło nad Polską, to wara było wrogom choćby pisnąć złe słówko! Jak tylko jaki cudzoziemski naród wściubił tam nos, gdzie nie dał grosza, to już dostał za swoje, że i dziesiątemu nakazywał!

A już to król Batory kropił najbardziej Moskali! Mocny Boże! co się tam tym Moskalom dostało po grzbiecie, to i na wołowej nie spisać nawet skórze! Bo to jak nie wjechał im na kark ten sławny król polski, to już tak parzył i tłukł, tak tłukł i parzył, że się co tchu w mysze dziury chować musieli!

Aleć bo też i nie sztuka była młócić co się wlazło złych wrogów, kiedy na kmiecej roli, pod słomianą strzechą rodzili się tacy ludzie, jak Gabryel Hołubek!

Jak tylko zaczęła się wojna z Moskalem, to już nie mógł Hołubek wysiedzieć spokojnie w chacie, jeno co tchu pobiegł do jenerała czyli hetmana polskiego Radziwiłła i rzecze mu:

— Panie hetmanie! To ani rusz być nie może, aby my kmiecie siedzieli doma, kiedy się krew polska leje! Pozwól mi panie hetmanie, a ja pójdę także na wroga!

— A toć i owszem — odpowie mu pan hetman Radziwiłł — ale cóż ty jeden pomożesz na wojnie?

— Alboć to ja jeden tylko co mam zdrowe ręce? — mówi na to Hołubek — Toć jeno zawołam na innych, a setna kupa wybierze się zaraz na wojenkę!

Uradował się bardzo pan hetman i pochwalił z serca Hołubka, a na końcu pyta go, ile mu dać grosza na utrzymanie kmiecych wojaków.

A Hołubek na to:

— Jakto panie hetmanie? To ja miałbym brać za to zapłatę, że się będę bił z wrogami mojej ziemi! A niechże mnie Bóg broni! Już ja sobie dobiorę takich zuchów, co pójdą choćby w piekło za Polskę z dobrego serca tylko a nie za grosz marny! My tam sobie jakoś damy radę i bez grosza, a za wszystko Moskal sam zapłacić nam będzie musiał!

Jako powiedział, tak i zrobił. Duchem zebrał sobie Hołubek takich zuchów, jak był sam i dalejże na wojenkę! I gdzie tylko napotkał Moskali, to ich prószył na cztery wiatry jakby plewę jaką! Zima była okrutna, Moskalów jak makiem nabił, a Hołubek nie ustał przecie, jeno kropił a kropił tak chwacko wrogów, że przed nim jak przed strachem uciekali na wszystkie boki.

Rozniosło się to zaraz wszędy, jaki to zuch dzielny ten Hołubek, i jakich cudów dokazuje na wojence, a w końcu to i sam król Batory o tem zasłyszał. Uradował się bardzo król polski, że ma takich kmieci walecznych, pochwalił z duszy Hołubka i posłał go na Tatarów, co się także zwąchali z Moskalami i pomagali im w tej wojnie, aby co żywo rozpędził tę pogańską hałajstrę.

Zaś Tatarzy i Moskale zebrali się w ogromną kupę pod Wielkiemi Łukami, co było miasto dokoła omurowane i okopane, bo dowiedzieli się, że król Batory wali prosto jak w dym na to miasto, aby go zdobyć i zniszczyć razem z nieprzyjacielem!

Otoż Hołubek miał oczyścić drogę z tałałajstwa tatarskiego, aby wojsko królewskie mogło sobie łatwiej podejść pod to miasto murowane, w które się schowali Moskale.

Hołubek nie dał sobie dwa razy mówić, jeno dalej naprzód ze swoimi, bo gdzie tylko trzeba było wytrzepać nieprzyjaciela, to Hołubek na to, jak na lato!... I nie darmo zaufał tak szabli Hołubka król polski! Hołubek jak błyskawica puścił się w drogę z swoimi wojakami, uderzył jak grom boży na Tatarów i nie zadługo, choćby i na lekarstwo, to nie znalazłby był nikt pogańca, tak ich poturbował siarczyście rycerz Hołubek!...

Toć jak potem podszedł pod miasto Wielkie Łuki sam król Batory, to już znalazł czyste pole, a potem począł bić i

szturmować na same mury, że choć takie były mocne jak z żelaza i choć ich broniła ćma Moskalów, to się długo nie ostały, jeno wraz z całem wojskiem moskiewskiem zabrali je nasi polscy wojacy!

Natłukłszy się tak do syta Tatarów nie spoczął Hołubek, jeno ruszył dalej na wroga. Raz jechał on z swojem wojskiem i rozglądał się dobrze, czy też gdzie nie natrafi się jaka okazya, aby znowu nieprzyjaciela polską szablą poczęstować. Tak zagonił się Hołubek pod Starzycę. Aż tu naraz ni ztąd ni zowąd, wyraźnie jakby z pod ziemi wylazło aż całych siedm set Moskali!

Hołubek nie miał tyle wojska, bo jeno trzy sta zuchów prowadził za sobą. Ale choć Moskali była siła dwa razy większa, nie nastraszył się ani trochę dziarski Hołubek. Zaraz ustawił swych wojaków w porządku, aby napaść z góry na wrogów.

— Jest ich dwa razy tyle co nas a nawet i więcej — mówił sobie Hołubek — ale djabła wpierwej zjedzą, zanim się doczekają, aby Hołubek uciekał przed nimi z polskimi wojakami!

I obróciwszy się do swoich zawołał:

— W imię Boże! Naprzód za ojczyznę na wroga!

I jak strzała rzucił się naprzód a za nim trzysta koni ucięło z kopyta i trzysta szabel spadło na łby nieprzyjacielskie! Nim się spostrzegli Moskale, już ich Hołubek z swymi zuchami tłucze jak bęben, siecze jak kapustę! Toż choć taka siła była moskiewskich żołnierzy, to jeszczebyś uczciwie jednego „Zdrowaś Marjo“ nie był odmówił, a już Moskale jak paździerze rozlecieli się po polu, uciekając na koniec świata przed Hołubkiem i jego wojakami!

Toż i nie dziw, że w całej Polsce nie mówiono o nikim, jeno o Hołubku, co tak siarczyście dokazuje z Moskalami! Król Batory pokochał Hołubka za jego waleczność jak syna, a kiedy mówiono o jakim tęgim i dzielnym wojaku to powiadano:

— To zuch jak Hołubek!

W nagrodę za odwagę i męztwo podczas wojny z Moskalem nadał król Batory Gabryelowi Hołubkowi takie dostojeń-

stwo, jakie inni panowie polscy mieli, i już od tego czasu należał Hołubek do rycerskiego stanu i mógł pieczętować się taką pieczęcią ze znakami, jak inni panowie. A zaś taka pieczęć nazywa się herb szlachecki.

Ale Hołubek nie dbał tam o to wiele, bo wiedział on dobrze, że taka tam jakaś pieczęć nic nie znaczy naprzeciw cnoty i zasługi dla ojczyzny.

— Niech się tam każdy pieczętuje jak chce, aby tylko wrogów pieczętował dobrze, a w końcu i całe swe życie, jeżeli potrzeba, zapieczętował krwią dla szczęścia swego kraju!... — mówił Hołubek i miał zupełną racją.

To też nie pragnął on tak niczego, jak znowu pójść na wojenkę i jeśli się już tak przydarzy, wytuzać dobrze nieprzyjaciół Polski. A nie długo czekał Hołubek, bo niezabawem wybuchła w Polsce nowa wojna.

A było to tak:

Sławny król Stefan Batory umarł a na jego miejsce obrali Polacy króla Zygmunta III, co się chował het w dalekim, zamorskim kraju, w Szwecyi. Tymczasem i arcyxiążę austryacki Maxymilian zapragnął królować Polakom i koniecznie chciał dostać dla siebie koronę polską. Zaś Polacy, którzy chcieli nie kogo innego jeno Zygmunta, ani rusz na to przystać i owoż nagle rozpoczęła się wojna.

Arcyxiążę Maxymilian zebrał wojsko niemieckie, i wmaszerował do Polski, aby koniec końcem zasiąść na polskim tronie. Polacy zaś sobie nagromadzili wojaków, aby tego nie dopuścić.

Wtedy to nasz chwat Hołubek znowu dobył swojej szabli, aby się bić z Niemcami. Zamknął on się z swymi wojakami w jednym na samych skałach murowanym gmachu czyli zamku w miejscu, co się zwało Rabsztyn i tam czatował na nieprzyjaciół.

Aż tu naraz nadciągają Niemcy, a było ich całe dwa tysiące! Nie uląkł się wcale Hołubek i jeno ze stoma ludźmi jak orzeł wypadł nagle na nieprzyjaciela i dopieroż sprawił mu łaźnię! Bo to choć nieprzyjaciół dwadzieścia razy było więcej, Hołubek jak nie dmuchnął na nich, jak nie zaczął kłuć i rąbać, płatać i młócić, tak całe dwa tysiące nie-

mieckich wojaków uciekać musiało przed Hołubkiem i jego stu chwatami!

Mocny Boże! Czyż znaleźć prędko drugiego takiego zucha i weredyka!

Alė na tem się jeszcze wojna z Niemcami nie skończyła. Choć Hołubek napędził jak to mówią Piotra nieprzyjaciołom, to ich niebawem przyszło jeszcze więcej do Polski. Sam arcyxiążę Maxymilian przybył do Polski z wielkiem wojskiem.

No toć oczywista, że i nasi nie próżnowali. Jan Zamojski, o którym już nieraz pisano wam w Dzwonku, bo był to bardzo sławny Polak i wojownik, wyszedł zaraz z Polakami, aby nie puścić Niemców do kraju.

Hołubek przyleciał zaraz ze swoimi jak na skrzydłach, bo już gdzie chodziło o bitkę za Polskę, tam on już musiał być koniecznie, choćby przez siedem gór i siedem rzek miał się przerzynać!

Pod Byczyną napotkali Polacy na Niemców i poczęła się sroga bójka. Niemcy ani rusz ustąpić, nasi ani rusz popuścić. I tak polała się siła krwi z jednej i drugiej strony, kiedy naraz zawołał rycerz Hołubek:

— A do pioruna! Już ja muszę raz dojechać temu wszystkiemu końca!

I jak nie kiwnie na swoich, jak nie poleci pędem naprzód, aż zagrzmiało i zakurzyło się za nim. Jak błyskawice zaświeciły szable Hołubkowych wojaków i pewnie byłby Hołubek zwyciężył cudzoziemskich nieprzyjaciół, gdyby wola Boska inaczej nie pokierowała!

Bo ano patrzcie, jak Niemcy zobaczyli, że na nich leci jak wiatr Hołubek, tak dali ognia z wszystkich fuzyj i armat do niego i trzy kule odrazu trafiły w piersi walecznego Hołubka! Spadł zaraz z konia ten sławny wojownik i oddał ducha Bogu!

Tak to zginął ten sławny rycerz polski Hołubek!...

Wprawdzie nie pomogło to Niemcom, bo ich Jan Zamojski pokonał a nawet samego wodza wziął do niewoli — ale dzielnego Hołubka co szkoda była, to szkoda!

Toć, kto jeno żył w Polsce, to płakał po sławnym wojowniku Hołubku, co taki był śmiały a bitny i tak siarczyście tłukł wrogów za życia!...

A nawet po śmierci Hołubka uczeni ludzie pieśni na jego chwałę poskładali, a pieśni te spiewał potem każdy rolnik w swym domu i każdy wojak polski w obozie!

A choć to już blisko 300 lat temu jak Gabryel Hołubek poległ pod Byczyną, to jedna taka pieśń na jego pamiątkę ułożona, dochowała się aż do naszych czasów. Otoż z tej pieśni o Hołubku wypisujemy wam tu dla przykładu kilka kawałków:

Hołubku niewysłowiony,
Pod Byczyną zastrzelony!
Miej chwałę między mężnymi,
Dla ojczyzny poległymi!
Zabityś, lecz niezabita,
Sława twoja się rozkwita,
Która póki świata, nigdy
Od czasu nie uzna krzywdy!
Odleciałeś towarzystwa
I rycerskiego myślistwa,
Krew ojczyźnie ofiarując,
Życiem wolność zastępując!
. . . .
A twe szable, twe rusznice
By ogromne błyskawice,
Strach przed sobą prowadziły,
A z wrogów trupy czyniły,
Same u Rabsztyna skały,
Zdumiawszy się oglądały,
Dzielnych wojaków twych rotę,
I krwawą rąk ich robotę!
A potem w sławnej potrzebie
Na czoło stawiłeś siebie,
I tam pięknej sławy syty
Upadłeś kulą zabity!
. . . .
Hołubku! sławny rycerzu,
Póki żywioły w przymierzu,
I dokąd słońce na niebie,
Nie zapomną w Polsce ciebie!

Toż pamiętajcie i wy o tym sławnym wojowniku polskim, co z waszego pochodził stanu, kochani kmiotkowie, a takiej się po wieki wieków u całej Polski dosłużył chwały!

Wojtek ze Smolnicy.

PIEŚŃ

do św. Izydora Oracza, patrona wieśniaków.

Wzorze pokory, patronie oraczy,
Tyś w pracy szukał powszedniego chleba,
Tyś twemi cnoty podniósł stan wieśniaczy,
A ziemię orząc dostał się do nieba!
Ty nas wieśniaków pociecho i wzorze,
Módl się za nami święty Izydorze!

Grubą jak nasza, była Twoja szata,
Życie jak nasze złożone z prostoty,
Taka jak nasza była Twoja chata,
Lecz grzechy nasze, to nie Twoje cnoty!
Wzmacniaj nas w wierze, pracy i pokorze,
Bądź nam przykładem święty Izydorze!

Jakże ubóstwo miłem było Tobie,
Pomnąc, że Adam pokutował w pracy,
A gdy Zbawiciel narodził się w żłobie,
Pierwsi mu pokłon przynieśli wieśniacy!
Ty szedłeś w pole zanim zeszło zorze,
Budź nas do pracy święty Izydorze!

Mówią o Tobie, że gdy raz od pługa
Bóg na modlitwę do siebie Cię woła,
A że w modlitwie jest także zasługa,
Przy pługu swoim ujrzałeś Anioła!
Bóg dopomaga proszącym w pokorze,
Ucz nas pokory święty Izydorze!

Po latach wielu pokory i pracy,
Gdy na sąd straszny po cierpieniu długiem
Staniemy wszyscy, wówczas my wieśniacy,
Staniemy śmiało za Twym świętym pługiem!
A tam nasz bracie, pociecho i wzorze,
Wstaw się za nami święty Izydorze!

C. N.

Jak Walenty doszedł swojej krzywdy

czyli

Kto rabuje i okrada — ten sam w własną łapkę wpada.

Jedzie sobie Walenty Świerz z miasta, gdzie był właśnie jarmark, na dzielnym siwku i trzyma się na nim krzepko, choć pono już szósty dźwiga krzyżyk na barkach i wygwizduje i wyśpiewuje sobie choć to już i nie bardzo do twarzy staremu. Aleć ma się i czego cieszyć: Sprzedał dobrze starego gniadosza jakiemuś żydowi a kupił jeszcze lepiej oto tego siwka za kiepskie pieniądze, coby przecież brat bratu śmiało mógł dać okrągłych 150 reńskich. I teraz wraca z gęstą miną, z wesołością na

twarzy i spiewanką na ustach prostą drogą do domu. Stałać tam przy drodze ogromna karczma, ale Walenty ani spojrzał na nią — jeno splunął jakby na urok, zaciął konika i dalej pospiesza, bo słonko już się na dół chyli, do domu spory kawał drogi i jeszcze przez gęsty bór trzeba będzie jechać, w którym złodzieje już niejednego do nitki obdarli. Wiedział o tem Walenty a miał sporo grosiwa przy sobie, więc bał się o nie i o swego siwka. A nużby go, broń Boże jaki rabuś napadł, bez pardonu wziąłby i pieniądze i jeszcze konika w dodatku jak swego. Jedzie więc sobie dalej a tu wraca z pola karczmarz.

— Jak się macie, kumie, jakżeż tam na jarmarku?

— Zdrowo, dzięki Bogu — powie Walenty — toć się użgało starą szkapinę żydowi, a oto widzicie kupiłem sobie tego siwka i spieszno mi teraz z powrotem.

— A bójcie się Boga, powie karczmarz, przejeżdzać koło mej chałupy i nie wstąpić ani na kieliszek? Wróćcie się kumie, wróćcie, wypijemy sobie jednego albo dwa, toć nic nie zaszkodzi, a ja jako po przyjaźni ani grosika od was nie wezmę.

To mówiąc karczmarz począł się przypatrywać bliżej koniowi, na którym siedział Walenty, to go głaskać i klepać i dziwować mu się, że taki tęgi i rosły.

— Oj Walenty, prawi dalej, a oczy mu się błyszczą od chciwości, wyście tam mieli szczęście od Boga, takiego konia kupić, i to za tak liche, jak powiadacie, pieniądze. Możebyście mi go chcieli odprzedać — wstąpcie-no do mnie, to się przy kieliszku jakoś lepiej ułoży i pokalkuluje.

— Dajcie mi miły spokój — mówi Walenty — z tej mąki chleba jeść nie będziecie. Zaś was pięknie przepraszam i dzisiaj już wracać nie mogę, bo mnie już i tęskno za domem i za starą Magdą, co mnie tam wygląda z niecierpliwością.

Po tych słowach zaciął Walenty konia i pospiesza sporym kłusem, a karczmarz długo jeszcze spogląda za koniem, co mu się tak okrutnie spodobał — i od razu utkwił w sercu. Równo z zachodem słońca dobiegł Walenty do lasu. Wnet się ciemnieć poczęło na dobre — Walenty jedzie i jedzie, a tu jak się las nie kończy tak nie kończy, a coraz ciemniej i ciemniej, żebyś i ręki przed nosem nie ujrzał. Mimowoli dreszcz

przeszedł po ciele Walentemu — począł się czegoś lękać i strachać, ale jako prawy katolik, co wie, że wszystko w ręku Boskiem, począł sobie szeptać: „Kto się w opiekę podda Panu swemu“ polecając się Opatrzności Bożej, która jest najpewniejszą obroną na strachy nocne i wszelkie trwogi.

W tem koń się pocznie strachać. Wytrzeszcza oczy Walenty, a tu stoi przed niem czarny jak djabeł rabuś i trzyma za uzdę swego konia, któremubyś wszystkie żebra i żyły policzył tak był wychudły, wyschły i ledwo się trzymał na nogach.

Gdybyś mu zajrzał do pyska ani jednegobyś mu zęba nie dopatrzył bo zjadł je nie na owsie, ale na słomie.

— Mój przyjacielu, odezwie się rabuś, jabym też chętnie chciał, aby mój koń miał taki obrok, jak ty swojemu dawać musisz, boć widać to po jego ścierwie. Wiesz co, bratku, pomieniajmy się. Ty tam pewnie nie masz przy sobie nabitego pistoletu, a ja oto mam dwa pistolety od przypadku i długi nóż! To wszystko przydać mi się może, gdybyś się nie chciał ze mną pomieniać.

— Ha! cóż robić? — myśli sobie Walenty. Trzeba się będzie pewnie zgodzić z rabusiem i zdać się na jego wolę. Kiedy mu tak chodzi o mego konia, to niech go i weźmie, a mnie cało puści. Mam jeszcze jednego w domu, będzie jeszcze pół biedy. Zaś nuż mi życie odbierze jak się będę upierał, to już będzie po mnie na zawsze.

Więc rzecze do rozboja:

— No kiedy już koniecznie chcesz mieć mego, to go bierz, a dawaj swego.

Tak się tedy pomieniali. Rabuś wsiadł na konia Walentego znikł w gęstwinie. Tymczasem Walenty lamentuje i nie wie co dalej począć, czy iść dalej pieszo, czy też wsiąść na chuderlaka i jechać do domu.

Ale myśli sobie:

— Nie ma i na co wsiadać, od razuby się chudzina podemną złamała. Dam mu pokój, niech sobie stąpa razem ze mną.

I tak też zrobił. Uszedł już spory kawał, prowadząc ze sobą na uździe konia. Ale szkapina naraz stawa jak wryta i

ani rusz dalej. Walenty obkłada konia kijem, ale ten jak stoi tak stoi.

— A bodajże cię, bodaj! — narzeka Walenty, co ja tu z tobą zrobię?

Wreszcie zniecierpliwiony do żywego mówi:

— A stój sobie aż do sądnego dnia, kiedy ci się tak podoba, ja tu już dla ciebie czasu mitrężyć nie będę. I zostawia szkapę i idzie sobie dalej. A koń też zaraz zwraca się i idzie prosto ścieszką w las. Ogląda się Walenty i myśli sobie:

— Trzeba mi się przekonać, gdzie on też jeno pójdzie. Ha! może mnie i szczęśliwie zaprowadzi do mego siwosza. Pójdę za nim.

I idzie za koniem, a koń idzie to stępo, to kłusem rusza, aż tu wnet wydostał się z lasu i wali prosto przez pole do karczmy, a Walenty tuż za nim. Koń zmierza prościutko do stajni i stawa przed drzwiami, bo były zamknięte.

— W to mi graj, myśli sobie Walenty, już cię mam ptaszku. Poczekajno, miły kumie, aniś się spodział, jakeś sam dostał się do matni.

I dalej prosto do izby. Pełno tu różnego ludu, co wracali z jarmarku, aż się roi, Walenty przeciska się do tylnego alkierza, patrzy, własnym swym oczom nie wierzy, a tu karczmarz myje swą twarz i ociera ręcznikiem z sadzy i jakiegoś czernidła, którem się był pomalował.

— A jakżeż tam, kumeczku, jużeście to zdrowo wrócili na moim koniku z lasu? — rzecze Walenty Wiecie co, teraz się znowu możemy pomieniać, boć i tak ta mienianka, cośmy ją w borku zrobili nie ważna, bo nie była sądownie potwierdzona. Oddajcie mi mego siwosza, wasza szkapina tam stoi przed stajnią, idźcie ją wpuścić, bo się zbiegała nie mało chudzina.

Rad nierad musiał nieuczciwy karczmarz przystać na tę zamianę i oddać konia Walentemu. Mając już swego konia, Walenty rzecze do karczmarza:

— Ale kumeczku, bieda to wielka, strasznie m się schodził i sfatygował, bo nie chciałem wsiąść na waszą szkapę, bym jej grzbietu nie złamał. Musicie mi wynagrodzić mitręgę,

dajcie pięć reńskich a będzie z nami kwita. Co zaś na to inni ludziska powiedzą, co tu są u was, to już nie mój kłopot. I rad nierad złodziej musiał dać Walkowi pięć reńskich, a Walenty podcinając swego konika — rzecze na pożegnanie:

— A co kumeczku, wszak się miękko siedzi na moim siwoszu?

Józef z Przedmieścia.

Piękne przykłady.

Szkółka w Jedliczu.

Wasz dobry przyjaciel i znajomy, Grześ z Mogiły, co to wam tyle pięknych historyj porozpowiadał w Dzwonku, napisał tu do Lwowa do *Gazety Narodowej* o szkółce we wsi Jedliczu niedaleko Krosna. A takie tam piękne rzeczy pisze Grześ z Mogiły o tej szkółce w Jedliczu, że wam tu także o niej jako o pięknym przykładzie rozpowiemy.

Jechał sobie Grześ z Mogiły przez wioskę Jedlicz i dowiaduje się, że w szkółce, co się w tej wsi znajduje, jest właśnie egzamin. A że Grześ kocha dziateczki wiejskie, więc też zaraz pospieszył do szkółki, aby się też przypatrzyć, czego to się jedlickie dziatki przez boży rok wyuczyły. Zaś szkółka ta znajduje się w plebanii. Świątecznie postrojeni gospodarze i gosposie szli także na egzamin, bo radzi byli zobaczyć, jak też ich dzieci się sprawią. Nad drzwiami szkółki zawieszona była chorągiew niebieska szkolna z obrazem Matki Bożej. U progu powitał gości szczerem sercem xiądz dziekan Dutkiewicz i wprowadził do dużej i jasnej izby, umajonej w zielone gałęzie jesionu i ustrojonej w piękne malowania.

W ławkach szkolnych siedziało z jakie 80 dziatwy drobnej wiejskiej z Jedlicza i z dwóch innych jeszcze wiosek: z Polanki i Potoka. Wszystkie chłopięta i dzieweczki ubrane były w czyste koszulki i płótnianki, a już co dzieweczki, to postroiły się jeszcze w wianuszki z bławatków, że aż miło patrzeć było. Na stole leżały pisania tych dziateczek na okaz, a koło nich rozmaite piękne xiążeczki i obrazki, co je potem rozdał

xiądz dziekan między najpilniejszych. W dwóch zaś przyległych pokojach gości jak maku nabił, a już to najwięcej gospodarzów i gospodyń, co ciekawi byli, czego się ich dziatki wyuczyły.

Jak już się wszyscy zgromadzili, wtedy dziatki szkolne odspiewały pieśń do Panny Najświętszej, Bogarodzicy, a tak pięknie, że aż człeka za serce chwytało. A potem to czytały z xiążek maleńkie bobaki tak gładko jak po maśle. Jak już przez chwilę dziatwa czytała, to xiądz dziekan kazał jednemu i drugiemu, aby powiedział jaką bajeczkę wierszami. No, to aż dusza się radowała, kiedy maleńcy szkolarze zaczęli rozpowiadać do składu piękne bajeczki, a żaden się nawet i trochę nie zająknął. Potem zaś kazał xiądz dziekan spiewać dziatkom wyuczone piosenki, a dziatki spiewały, że się i odsłuchać nie było można. Potem zaś dawał im zapytania xiądz wikary z religii świętej. Na wszystkie pytania, czy z katechizmu, czy z nauki moralnej tak dziecięta szykownie i mądrze odpowiadały, żeby się i niejeden stary nieuk powstydził. Teraz znowu dawali nauczyciele pytania starszym już trochę dzieciom. Xiądz dziekan zapytywał małych szkolarzy z historyi świętej i z innych nauk, a aż człek własnym uszom wierzyć nie chciał, tak ślicznie wszystko umieli. Toć kiedy xiądz dziekan wywołał na środek Michasia Janochę, co ma dopiero lat 7, i zaczął go pytać, to tak mądrze odpowiadał, że w kątby pójść musiał niejeden organista albo pisarz! Bo to bobak ten maleńki Michaś jak sobie stanął przed takim papierem, co to na nim samemi linijkami i kropeczkami gdyby maczkiem wszystkie miasta, rzeki, góry z całego świata były naznaczone (a papier taki zwie się mapa) — jak wziął do rączki patyk, bo to maleństwo inaczej dostać nie mogło, jak zaczął nazywać lądy, morza, kraje, góry, miasta, rzeki, het, het z całego świata, to aż się człeku w głowie przewracało, zkąd takie dziecko to wszystko wiedzieć może!... Wiedział gdzie leży Francya, Anglia, Austrya, Włochy, Turcya, gdzie jakie miasto wielkie, gdzie jaka rzeka płynie, że gdyby tego wszystkiego nie był słyszał Grześ z Mogiły, toby był i nie uwierzył nikomu, że taki chłopaczek tyle ma nauki!

A potem to dziatki znowu czytały, pisały, rachowały, a wszystko tak jak stary jaki kancelista! Zaś w końcu to jeszcze piękniej było. Bo jak xiądz dziekan wywołał Kasię Janoszankę i kazał jej powiedzieć wiersze jakie, to ona na pamięć powiedziała jeden cudny wiersz długi, co go to ułożył sławny pisarz polski Teofil Lenartowicz, którego kawałki drukujemy wam także w Dzwonku. A tak Kasia ślicznie to na pamięć mówiła, że człekby słuchał dzień cały! Także i żydek jeden maleńki Szymon Fries, co też chodzi do szkoły w Jedliczu, tak gładko i pięknie powiedział jeden wierszyk, że niktby nie poznał nawet, że to żydek!

Wszyscy panowie co tam byli, to się naradować nie mogli, i mało nie płakali z uciechy, że tak pięknie powyuczały się wszystkiego małe dziateczki. Nakoniec zaś, to rozdawano nagrody dziatkom za dobrą naukę. A śliczneż to były rzeczy! Xiążeczki, obrazki, czapeczki, pasiki, wianki, wstążeczki, szpinki, nożyki, to wszystko grzecznym dziatkom rozdawano! A potem to jeszcze i słodkie figi i bułeczki białe i mleko, a gdy do tego wszystkiego jeszcze i muzykanci ze wsi zagrali, to już radości dziatek końca i miary nie było.

Tak to pięknie dzieje się w Jedliczu! Daj Boże jak najprędzej, aby wszędzie takie pilne były dziatki, takie piękne szkółki, i tacy zacni kapłani, jak ten kochany, zacny xiądz dziekan Dutkiewicz, co tak ślicznie dziatwę wiejską wychowuje na pożytek ojczyzny i chwałę Pana Boga!

Oj gdyby jeno ludziska chcieli, wszędzieby tak było za pomocą Bożą!

RÓŻNOŚCI.

Trafiła kosa na kamień. W pewnem mieście żył jeden ubogi ale bardzo sprytny student, co chodził pilnie do szkoły i uczył się bardzo dobrze. Ale cóż, przytrafiało się często chudzinie, że nie miał ani grosza w kalecie, a tu trzeba było żyć jako tako na świecie. W takich razach to studencina przedawał co ze starzyzny, a osobliwie coś z ubrania, jeżeli się już sponiewierało. Otoż raz przyszedł do niego jeden żydek, co to był znany szachraj na całe miasto i umiał wszystko od ludzi wykpić tak

jak za darmo. Student zaś miał do sprzedania żupanik stary. Kiedy już żydek powiedział, że kupi to starę żupanię, to student ukradkiem włożył do kieszeni tego żupana srebrny zegarek, co go miał od ojca, i tak wraz z tym zegarkiem daje żupan oglądać żydkowi, mówiąc:

— No Icku! co mi dasz za ten żupan?

Icek popatrzył na żupan ta mówi:

— *Aj waj!* to starego grat, już *wono* podarte, *poprzechodzywane*, co ja mam za niego zapłacić! Nu to nic nie wart!

— Ej oglądnij dobrze Icku — mówi student — wart może więcej niż myślisz.

Icek ogląda żupan znowu, aż naraz namacał w kieszeni zegarek. Zaraz też sobie pomyślał, że student zapomniał o tym zegarku, co jest w żupanie, i że jak kupi żupan, to student sprzeda go razem z zegarkiem. Więc nic nie mówi biednemu studentowi, że w żupanie jest zegarek, jeno targuje sam żupan. Ale student dobrze pamiętał o swoim zegarku, jeno się z tem przed Ickiem nie wydawał. Żyd targ w targ, i coraz więcej daje za żupan, a w końcu to obiecuje dać tyle, co i żupan nie wart, myśląc sobie zawsze, że zegarek będzie jego. Jak powiedział, że dwa razy tyle da, co i sam stary żupan, który był już mocno przestarzały, na prawdę był warta, wtedy student powiada:

— No to zapłać i bierz żupan! Niech stracę!

— Co pan masz tracić — mówi Icek — to ja sam siebie chcę oszachrowywać, ten żupan tyle nie wart, ale cóż mam robić, ja to jeno dla pana robię z najlepszego serców.

Zapłacił tedy żyd prawie dwa razy tyle, jak żupan był wart i kontent bardzo, że zegarek zabierze także. Ale gdy już Icek miał odchodzić, woła student, tak jakby sobie dopiero teraz przypomniał:

— Poczekaj-no żydku, w żupanie jeszcze jest mój zegarek! Daj niech go wyciągnę!

I wyjął zegarek a dał żydowi sam żupan. Poskrobał się Icek w głowę, bo zobaczył, że się złapał w sidła, co je sam na studenta zastawił i że się sam okrutnie oszukał — ale już było za późno i nie było co dalej mówić. Kto chce oszukać, bywa sam oszukany.

Nie ruszcie ptaszków! Poczciwemu człowiekowi to aż patrzyć się smutno, kiedy widzi, jak ludzie wybierają z gniazd młode ptaszęta, nie bacząc na to, że to szkoda i grzech prawdziwy. Na wsi to są tacy chłopacy brzydale, co gdzie jeno gniazdo upatrzą, zaraz je zniszczą. Takim sposobem marnieje mnóstwo ptaków, a osobliwie takich, co są wam gospodarzom bardzo pożyteczne, jak na przykład zięby, sikory, słowiki. Bo to takie biedne ptaszę żadnej człeku nie robi szkody, jeno sobie spiewa niebożątko na chwałę Boską, a już co ludziom, to wielkie czyni dobrodziejstwo. Gdyby bowiem nie było tych ptaszków, to gąsienice i inne brzydkie robaki pożarłyby kwiat z drzew owocowych, poniszczyły plony, ba całe lasy nawet. Zaś takie małe pta-

szęta gdzie jeno zobaczą robactwo, zaraz je niszczą i przez to ludek gospodarski od szkody chronią. Czyż to nie grzech, łapać i męczyć je niepotrzebnie i to wtedy do tego, kiedy sobie gniazdka plotą i małe wysiadają?... Otoż widzicie, teraz to i sam urząd zakazał, aby tego broń Boże nie robić, bo kogo na takim uczynku złapią to do aresztu pójdzie, a kto wie czy nawet po skórze co nie oberwie. Lwowski urząd najwyższy, co się zwie Gubernium albo po polsku Namiestnictwo, wydał taki rozkaz, aby nikt się pod ostrą karą nie ważył wybierać z gniazda, łapać, strzelać, albo sprzedawać takie pożyteczne ptaszęta, jak na przykład słowiki, sikory, zięby, dzięcioły, piegże pliszki, strzyże — a osobliwie wtedy, kiedy na gniazdach siedzą, co jak wiecie, dzieje się od 1 marca aż do końca sierpnia. Otoż nakażcie tam i waszym dzieciakom, aby nie łapali przez ten czas ptaszków, bo wam i sobie źle narobią i do aresztu ni ztąd ni zowąd pomaszerują.

Pożar w Przemyślu. Tego roku to wyraźnie jakby palec boży nas dotykał, bo co woda nie zalała, to ogień niszczy. Dnia 25 lipca straszne nieszczęście nawiedziło miasto Przemyśl. Zajął się tam dom jakiegoś piekarza, a ogień od razu rzucił się i na inne domy i poczęły się palić jeden po drugim, aż w końcu zapalił się i kościół xięży Franciszkanów! Ratowali tam ludzie jak mogli, ale cóż kiedy rady dać nie było można i tak 23 domów i kościół zniszczył ten pożar.

Stare przysłowia.

1. Bezpiecznie myszy biegają, gdy kota doma nie mają.
2. Biedna starości! wszyscy cię żądamy — a kiedy przyjdziesz to zaś narzekamy.
3. Skąpy człowiek czyni tak, jak pies na sianie, sam go nie je i krowie go nie da.
4. Co wino radzi pijają — a tłuste kąski jadają — nie zbiorą tacy pieniędzy — owszem zawsze będą w nędzy.
5. Gdzie złe przypadki — tam przyjaciel rzadki.
6. Jedna baba kamień do studni wwali, a dziesięć chłopów go nie wydobędzie.
7. Kto we żniwa patrzy chłodu, nacierpi się w zimie głodu.
8. Kiedy niedźwiedzia prowadzono do miodu, to mu uszy oberwano, a kiedy od miodu, to ogón.
9. Łacno o przyczynę, kto chce bić chudzinę.
10. Nie mieć kości pod stół — niech się psy nie wodzą.
11. Nie trzeba się żadnej rzeczy odrzekać, jeno kraść i nosa sobie ukąsić.
12. Złapałem Tatarzyna! — Wiedźże go sam! — Nie chce iść. — To chodźże ty sam! — Nie chce mnie puścić!

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.